№ 25. Warszawa, dnia 9 (21) Czerwca 1894 r. Rok XXX.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół.. kwartal. 5 marek

NAD STAWEM.

Szafirowy cichy staw
Szumi pieśnią trzcin i traw
I odbija skry słoneczne
I błękity napowietrzne
I co falom rzuci traf.

A nad stawem głogi w krąg
Purpurowy niosą pąk,
A nad stawem kwitną ciernie,
Białym kwiatem kryjąc czernie
Swych kolczastych nóg i rąk.

A pod wodą żabi chór,
A pod wodą rybek sznur,
A na wodzie tataraki,
A nad wodą suną ptaki
Śród wysokich srebrnych chmur.

Siedzę tu nad brzegiem fal
Zapatrzony w senną dal,
Coś mi tęskno po dniach onych,
Po minionych—po straconych,
Po minionych dniach mi żal!

Więc o wierzby wsparty pień,
Słucham fali cichych drżeń...
Naraz, niby duch zza świata,
Jakiś cień przez toń przelata:
Ach, to ptaka czarny cień.

Czarnym cieniem mignął tak
I w nieznany pomknął szlak,..
Ledwiem oczy wzniósł do góry,
Już widziałem tylko chmury—
Za chmurami zniknął ptak!

Jako ptak—uchodzą sny,
Cieniem padną w życia łzy.
Jako strzała tak migają,
I jak ptaki przepadają,
W tajemnicze płynąc mgły.

Ileż myśli, — uczuć — zórz
Zgasił we mnie wicher burz!
Błyskawicą we mnie błysły
I w nicestwo się rozprysły—
I nie wrócą nigdy już!

A. Lange.

BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANDĘ GROT BĘCZKOWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

XVIII.

— Proszę jaśnie pani...—pokojówce Rózi oddechu w piersiach zbrakło.—Proszę jaśnie pani...

— Cóż chcesz?

P. Dolewska drzemała w fotelu. Lila przerzucała pisma i ziewała.

— P. Kamieniecki się pyta: czy jaśnie panie przyjmują?—wykształciła nareszcie Rózia.

— Kto?—z piersi babki i wnuczki wybiegło na raz pytanie—kto taki?

— P. Kamieniecki, proszę jaśnie pani. Jakem go zobaczyła, o mało com karafki nie stłukła, takem skoczyła. Mój Boże, jak też to dobrze, że przyjechał...

Rózia tęskniła za wsią okrutnie.

Pani Dolewska zerwała się i podbiegła do wnuczki.

— Lili, czy słyszysz? Kamieniecki jest w Paryżu, przyszedł nas odwiedzić. Jakie szczęście! Proś, proś!—krzyknęła na Rózię. Poprawiła zbakierowany czepek i spojrzała na Lilę. Lila pochyliła się nad książką tak nizko, że babka prawie jej twarzy dostrzedz nie mogła.

— Pokaż się Lili: jak wyglądasz? Prędko... Czy to nie wyraźna łaska losu?

Lili nie poruszyła się. Serce jej biło szybciej nieco, niż zwykle...

— P. Kamieniecki—ozwał się głos Rózi.

Portiera uniosła się wyżej, Stanisław wszedł do pokoju.

— Drogi, kochany panie Stanisławie, z nieba nam spadasz, doprawdy — trzepała p. Dolewska, cisnąc rękę Stanisława w obu dłoniach. — Takie jesteśmy stęsknione, znudzone Paryżem. Lila nawet nie zdrowa trochę, chce wracać do kraju. Ach, jakie szczęście, żeś przyjechał!

Stanisław obejrzał się z niepokojem. W przeciwległym rogu salonu majestatyczna, pełna wdzięku postać podniosła się od stołu. Szlafroczek z białego kaszmiru obejmował zręczną kibić, włosy odrzucone z czoła, związane błękitną wstążką, spadały na ramiona. Stała w świetle ponsowej lampy, która na matową jej twarz rzucała barwę gorącą. Prześliczne usta otworzyły

się w pół uśmiechu, uśmiech nadał słodycz wejrzeniu.

Stanisław posunął się ku niej żywo.

— Witam panią— rzekł szeptem prawie, chcąc opanować drżenie głosu. — Czy istotnie czuje się pani cierpiącą?

Tak się przeląkł o nią; nie wiedział co mówić, patrzył tylko na nią z niezgłębioną miłością.

Jakże mu się piękną wydała—ach, jak piękną!

Lila podniosła na niego oczy, ciemne, błyszczące a takie słodkie.

— Witam pana — rzekła, podając mu do uścisku rękę.—Serdecznie witam.

On maluchną tę rączkę do ust przycisnął. Drżał cały, zapomniał o obecności pani Dolewskiej, o wszystkiem.

Lila wydała mu się całkiem inną. Taka milutka, bez cienia dawnej zalotności i odpychającej dumy. Zapatrzony w nią, zapomniał, że trzyma jej rękę, że pocałował ją już kilka razy. Lila, uśmiechniona łagodnie, próbowała ją wysunąć.

— Dawno pan przyjechał? — pyta, chcąc wyrwać go z extazy.

— Dziś—odpowiada Stanisław, zdecydowawszy się nareszcie puścić rączkę.

— Jakto grzecznie, żeś pan o nas pamiętał!— mówi słodko Lila.—Chcemy już uciekać z Paryża. Zatęskniłam za wsią za spokojem...

— O tak, tak, niema jak w domu — zawołała p. Dolewska. — Zbrzydł mi i Paryż i Francuzi i ich kuchnia.

Pod pozorem zadysponowania kolacyi wysunęła się z pokoju babka. Młodzi zostali sami. Stanisław przysunął się do Lili. Stała teraz ze spuszczoną nieco głową, z zakłopotaną minką, nad wszelki wyraz urocza, szczególniej dla Stanisława, który jej nigdy taką nie widział. Milczeli długo.

— Dlaczego pan nic nie mówi?—szepnęła wreszcie Lila.

— Patrzę... — odparł z gorącym błyskiem w oczach.

— Czy się tak bardzo zestarzałam? — pyta figlarnie Lila.

— Okropnie—odpowiada Stanisław z udanem przejęciem.

Śmieli się, rozbawieni jak dzieci.

Stanisław leciutko wziął za rączkę i pochylił się chcąc zajrzeć w spuszczone oczy Lili.

— Proszę spojrzeć na mnie—mówi tonem niby rozkazującym—bardzo proszę.

— Nie chcę— odpiera Lila cichutko.

— Nie? Więc odjadę — szepce Stanisław już bardzo blizko uszka Lili.—Odjadę i nie wrócę...

Ogarniał ją spojrzeniem gorącem, czuła oddech jego na swej twarzy i—rzecz dziwna, przejmowało ją rozmarzenie, tkliwość jakaś, serce biło niespokojnie—jej, dotąd tak zimnej i obojętnej dla niego. Zwolna ciemne rzęsy podniosły się w górę i na twarzy Stanisława zatrzymało się spojrzenie, którego nigdy już nie miał zapomnieć,—otworzyło mu drogę do raju, do szczęścia! Sam nie wiedział kiedy stojącą dziewczynę przygarnął do piersi, a nawet... o, rajska chwilo! śliczne malinowe usta znalazły się tak blizko jego ust...

Wchodząca p. Dolewska zobaczyła już tylko bladego z silnego wzruszenia Stanisława i matową twarz wnuczki z rzadko pojawiającym się na niej szkarłatnym rumieńcem.

W kilka dni potem szczęśliwa para narzeczonych, z niemniej uradowaną p. Dolewską, powracała do kraju.

Oczywiście, w sekrecie przed Lilą, Stanisław uregulował rachunki p. Dolewskiej, która nie krępowała się tem bynajmniej.

Rózia, siedząc w wagonie trzeciej klasy, wygrażała pięścią Paryżowi.—Żeby choć na lekarstwo jaki uczciwy chłopak się tam znalazł, — mruczała pod nosem. — Same zdehlaki, same okpiwacze! Niech was tam!... Już-bym tu drugi raz nie przyjechała!

* *
*

— Radziłbym panu przejechać się po świecie z panną Haliną—rzekł dnia pewnego Dr Olski. —Bardzo powoli odzyskuje siły, cera się nie poprawia...

Bielowski spojrzał na niego przerażony.

— Czy przypuszczasz, doktorze?...

— Nic nie przypuszczam — przerwał szorstko doktor.—Rozrywka młodemu nigdy nie zaszkodzi. Jedź pan z nią do Włoch, przezimujcie tam nawet; podróż powinna ją zająć, rozweselić...

— Ależ ona jest wesołą i wydaje się zupełnie zdrową—przerwał zafrasowany Bielowski.

— To sztuczne ożywienie, aby was nie martwić —rzekł doktor żywo.—Znam się na tem.

— Czy tylko jechać zechce?—mówił Bielowski, szybkiemi krokami przebiegając pokój.—Domyśli się, że to o nią chodzi.

— *Est modus in rebus* — uśmiechnął się lekarz. Możemy panienkę wziąć podstępem. Pan zaczniesz się skarżyć na artrytyzm; ja, oczywiście, przepiszę kuracyą zastosowaną do naszych zamiarów, i kwestya skończona. P. Bielowskiej zrobimy nawet niespodziankę; sama lubiąc podróżować, chętnie za nami głosować będzie. Tylko nie desperuj, kochany panie, bo niema jeszcze czego. P. Halina powróci zdrowa jak rybka, wesoła jak chochlik, zdecyduje się wyjść za mąż, o czem teraz wspominać sobie nie pozwala, i wszystko będzie dobrze. Zostanę u was na obiedzie i zaraz rozpoczniemy kampanią. Będziemy jeszcze piastowali wnuki, mój łaskawco... ręczę za to.

Bielowski ciężko westchnął. Czyż on nie wiedział czemu piękna jego Halka straciła rumieńce, czemu w oku jej palą się niespokojne błyski, jakby wewnętrznego ognia odbicie, który świeży ten kwiat trawił powoli? Ojciec przeczuwał łzy niewypłakane, jakie ten ogień w oczach jej wypalał, widział walkę, którą dziewczę staczało z sobą odważnie. — Widział, czuł, a pomódz nie mógł.

W kilka godzin potem poczciwy Doktor Olski żegnał się na ganku z p. Bielowskim, uśmiechniony i zadowolony.

— Niema co zwlekać—powtarzał—usposobienia pań wyborne, należy korzystać. Jedźcie z Bogiem, a przywieźcie mi Halinkę zdrową i wesołą.

Uściskali się, rozrzewnieni obaj; lekarz odjechał, Bielowski zajął się przygotowaniami do podróży bezzwłocznie.

* *
*

Ślub Lili ze Stanisławem naznaczono na dzień trzeci Września, jako dzień imienin p. Kamienieckiej.

Stanisław byłby rad przyśpieszyć termin swego szczęścia, ale p. Dolewska, mając pewność, że narzeczony się nie cofnie, chciała pierwej uregulować swoje interessa przy jego pomocy, potem zająć się wyprawą, a na to potrzebowała czasu.

Dla Lili było to obojętnem. Gdy pierwsze wrażenie minęło, ostygła i—zaczęła nawet nudzić się po-dawnemu.

Stanisław, upojony szczęściem, na wszystko się zgadzał, wszystko załatwiał, cały ciężar interessów wziął na siebie.

Konferencye z Kwapiewiczem odbywały się bezustannie. Stanisław zobowiązał się uregulować hypotekę Zagórowa, a za trzy lata odebrać z rąk dzierżawcy Rumszany.

Kwapiewicz rad był niezmiernie z takiego obrotu rzeczy; Maciej i Balbina dziękowali Bogu, że o „panienkę" mogą być spokojni.

P. Kamieniecka okazywała synowi twarz zawsze wesołą, ale troska podkopywała jej zdrowie. Czuła się niesłychanie przygnębioną i osłabioną. Nie mówiła wszakże nic i nie okazywała bynajmniej bólu, jakiego doznawała na każdą o przyszłość wzmiankę. Z Rolskim tylko była swobodną i szczerą. Oboje kochali Stanisława a znali Lilę. Spokój ich przepadł.

— Pani moja najdroższa — prosi Stanisław narzeczonej, siedząc dnia pewnego u jej stóp w ogrodowej altanie i patrząc jej w oczy z miłością — czy nie chciałabyś przejechać się do Kamieniec? Matce przykro, że odwiedzasz ją tak rzadko... radaby poznać cię lepiej... i wiedzieć, że ty pragniesz tego.

Lila milczała. Trzymaną w ręce gałązką jaśminu muskała czoło narzeczonego i uśmiechała się figlarnie.

— Cóż, Lili moja? — pyta błagalnie. — Kiedy mam przejechać eskortować moję panią?

Chciał schwycić rączkę figlującą jego włosami, ale rączka uciekała, na twarzy Lili odbił się wyraz zniecierpliwienia.

— Po co ja tam pojadę? — mówi niechętnie.— Wyznam szczerze, że z matką pana rozmawiać nawet nie umiem; taka poważna, taka chłodna... przecież i tak poznamy się później...

— Lili! — Stanisław spojrzał na nią z wyrzutem — przykro mi, gdy tak mówisz.

— To nie wymagaj rzeczy nadzwyczajnych — odparła żywo. — Gorąco, kurz... najlepiej wtedy nie wyjeżdżać nigdzie...

— Przejechać mil parę w zamkniętej karecie nie utrudzi cię chyba, najdroższa, a doprawdy, matce się to należy...

— Jakie to zabawne te komedye czułości!—rzekła, śmiejąc się ironicznie.—Pan lubisz się bawić w „malutkiego Stasia;" uważałam to już niejednokrotnie. Zapominasz, że matki tracą dzieci, gdy dzieci dorosną.

— Ale prawa matek pozostają niewzruszonemi—rzekł obrażony Stanisław.—Staraj się pamiętać o tem, ukochana!

— O, tylko nie chciej pan krępować mię jakiemiś prawami — rzekła z dąsem. — Nic nadto nudniejszego! Nie znoszę kurateli!

— Ależ Lili! — Stanisław spojrzał na nią zdumiony. — Czy żądałem czegoś nadzwyczajnego? Boli mię to, że rozumieć mię nie chcesz.

Lili w jednej chwili przybrała inną postać. Z minką figlarnej kotki położyła mu głowę na ramieniu.

— Jestem zazdrosna—szepnęła. — Ty zawsze matkę kochać będziesz więcej, niż mnie...

Stanisław namiętnie przytulił ją do piersi. Kocham cię, kocham — powtarzał bez końca. — Nie mógł bym więcej. Lili! ja ci ze wstydem wyznać muszę, że jesteś mi droższą nad wszystko. Pojmujesz? Nieraz pogardzam sobą nieledwie, ale niemniej tak jest.

— Więc kiedy mam jechać? — spytała słodko, zaglądając mu w oczy.

— Kiedy zechcesz ukochana—odpowiada rozpromieniony.—Jakżem ci wdzięczny!

Pokojówka Rózia stanęła przed nimi zadyszana.

— Jaśnie pani prosi—rzekła — przyjechali jacyś panowie, pani się tak gniewa... Może jaśnie pan będzie łaskaw...

— Idę w tej chwili—odparł — czy pani zechce poczekać na mnie łaskawie—spytał Lilę.—Wrócę o ile będę mógł najśpieszniej.

Ona obojętnie skinęła głową.

W pałacu, w gabinecie p. Dolewskiej toczyła się żywa rozmowa. Głos pani domu, piskliwy, zirrytowany, górował ponad innemi.

— Proszę cię, p. Stanisławie—wołała zaperzona staruszka, spostrzegłszy wchodzącego—czy to słyszane rzeczy, dla marnych jakichś tam kilku tysięcy robić takie awantury, najazdy... To oburzające!

Stojący przy biurku, niemłody mężczyzna uśmiechnął się z politowaniem i zwrócił się do Stanisława.

— Komornik Głąbski — rzekł, kłaniając się z uszanowaniem.—Robię co mi kazano i nie mogę zwracać uwagi na to, jak moi klienci to przyjmują. Pan dobrodziej przyzna mi racyą?

— Ale o cóż to idzie?—pyta Stanisław.

Komornik podał mu wyrok.

— Lejzor Szyc ma 5.000 rubli z wyroku—rzekł. —Czeka już 3 miesiące, dotąd jeszcze jednak nie uregulowane. Plenipotent odmówił zapłaty: zmuszony jestem zrobić zajęcie.

Stanisław przeczytał wyrok.

— Łaskawy panie—rzekł—proszę zostawić mi czas do wieczora. Pojadę do domu i odeślę pieniądze, o ile będę mógł najprędzej. P. Szyc zgodzi się na to, wszak prawda?

Imponująca postać Lejzora Szyca zgięła się w kabłąk, kłaniając się Stanisławowi.

— Ktoby jaśnie pan Kamieniecki nie znał! — rzekł z admiracyą. — Ja na słowo jaśnie panu

cały majątek oddam i zawsze powiem sobie: *git geszeft*.

— A więc kwestya skończona. Pożegnam panie teraz, — mówi Stanisław, całując rękę p. Dolewskiej.—Chcąc się stawić na słowie, wracać muszę do domu.

P. Dolewska usiłowała pokazać się rozrzewnioną.

— Drogi, kochany p. Stanisławie — zaczęła mdlejąco.

Ale on nie dozwolił jej dokończyć—porozumiemy się później, łaskawa pani — odparł z pośpiechem.—Tymczasem do widzenia.

Pobiegł do ogrodu, Lila siedziała jeszcze w altanie.

— Odjeżdżam, najukochańsza — rzekł z żalem. —Myślałem, że wieczór spędzimy razem...

— Cóż się tam stało?—spytała obojętnie.

— Nic ważnego, a przynajmniej nic ciekawego dla mojej Lili. Bywaj mi zdrowa! Kiedy każesz mi przyjechać?

— O, nie prędko!—szepnęła figlarnie.—Wtedy, kiedy zatęsknisz za mną...

— Przyjadę jutro — rzekł upojony. Kilka gorących pocałunków, i rozstali się.

— Jeżeli wszyscy narzeczeni są tacy nudni jak mój...—pomyślała Lila z westchnieniem ulgi, dążąc ku domowi — to doprawdy nie warto było zmieniać hrabiego na Stanisława. Tak mnie męczą te czułości... Ach! nic nie warte życie, skoro na każdym kroku przymus sobie zadawać trzeba.

Wróciła do pałacu, babka czekała już na nią.

— Wiesz?—mówi z ożywieniem—Stanisław zapłacił znowu dług Lejzora. I to odrazu bez wahania. To prawdziwie po-rycersku.

— Niech tylko babcia nie przecenia kwestyi— odrzekła obojętnie Lila. — Było to jego obowiązkiem.

Podniosła głowę i jak królowa majestatycznym krokiem przeszła przez salon.

Babka z admiracyą patrzyła za nią.

— Ona potrafi męża zawojować—szepnęła do siebie.— Wierna kopia nieboszczki mojej Lili. Poprawna nawet... Będzie jej dobrze na świecie.

* *
*

— Jadę na polowanie, mateczko—rzekł Stanisław przy śniadaniu, zwracając się do p. Kamienieckiej. — Stary Maciej zaprosił mnie na kaczki, których mnóztwo w Rumszańskich stawach. Proszę nie czekać z obiadem: prawdopodobnie wrócę dopiero wieczorem.

— Jedź, drogie dziecko—odparła p. Kamieniecka.—Czy będziesz jutro w Zagórowie? Chciałabym pojechać z tobą...

— Będę. O matko, jakaś ty dobra!—rzekł Stanisław z uczuciem głębokiej wdzięczności.—Jakże się Lila ucieszy! P. Dolewska wspominała nawet o tem z pewnym przekąsem. Nie mogę się do tej kobiety przyzwyczaić, matko. Razi mię swoją głupotą, brakiem taktu, serca... Ach, gdyby Lilę wyrwać z jej rąk jaknajprędzej...

— Nie wiem, czy ci się to uda— odpowiedziała matka z westchnieniem.—Dolewska będzie chciała przy was zamieszkać...

— Nigdy się na to nie zgodzę—zaprzeczył Stanisław. — Pomówimy jeszcze o tem dziś wieczorem. Czas na mnie, matuchno...

Ucałował ręce matki na pożegnanie i pojechał.

Stary Maciej z radością go powitał.

— Pyszne będzie polowanie, jaśnie panie — mówił, zacierając tęce. — Od Rakowieckiej granicy gniazdo przy gnieździe cyranek; widziałem na własne oczy.

— Ale czy dopłyniemy do nich?—pyta zainteressowany Stanisław. — Jak się w sitowia skryją, trudno będzie dostać.

— E!—machnął ręką stary — jakoś dobijemy. Torba mi się oto popsuła... muszę pójść na górę; w szczytowej komnacie walają się jeszcze po nieboszczyku różne torbiska: trzeba sobie jaką wybrać...

— Hola, stary! widzę, że masz ochotę marudzić, a jabym już rad coprędzej na stawy się dostać — rzekł Stanisław.

— Duchem polecę i duchem wrócę — odparł Maciej i wybiegł.

Kwadrans za kwadransem mijał,—nie wracał. Stanisław się zniecierpliwił.

— A to maruda!—szepnął.—Pójdę go ztamtąd wyciągnąć. Ze szczytowej komnaty widok ma być przepyszny; znam wszystkie niemal zakątki Rumszańskiego pałacu, ale tam jeszcze nie byłem.

— Co tu robisz tak długo, mój Macieju?— pyta w kilkanaście minut potem, zmęczony niezliczoną ilością schodów, jakie przebył. — Kiedyż pojedziemy?

— Duchem, jaśnie panie — odpowiada gdzieś z kąta głos Macieja. — Przywalili torby gratami, nie mogę wydobyć. Niech jaśnie pan krzynkę jeszcze poczeka...

Stanisław podszedł do okna.

— Ach, jaki wspaniały widok!—woła zachwycony.—Nie żałuję, żem się tu wdrapał.—Zamyślił się, patrząc w dal. Tam, za lasem, pałac Zagórowski i jego ukochana... Czy też myśl jej szybuje teraz ku niemu, czy tęskni za nim?

Rozmarzyło go to wspomnienie; po długiej dopiero chwili ocknął się i ciekawie rozejrzał wokoło. Mnóztwo rozmaitych rupieci leżało na półkach, walało się po kątach; widać było, że nikt tu nie zaglądał i o utrzymaniu porządku nie myślał.

Słońce wzbiło się już wysoko, jaskrawemi promieniami obrzuciło park, lasy i ogromne, lśniące w oddali stawy, zakradło się i do szczytowej komnaty, błąkając się leniwie po kątach.

Gdy Stanisław odwrócił się od okna, z piersi jego wydarł się krzyk podziwu.

— Lila, co to jest?— woła, nie mogąc oderwać oczu od portretu stojącego w kącie wprost okna.

Tak, to oczy Lili, jej przepiękna twarzyczka, uśmiech na pół dziecinny, na pół wyzywający, w zupełnej zgodzie z oczyma, które wyzywały, ale też i czarowały słodyczą. Biały muślin otaczał klassycznie uformowaną szyję i ramiona; ciemne włosy zdobił fantastyczny wieniec z bluszczu i paproci. Tak, to Lila! Widział ją przecież w tych białych muślinach i zielonych liściach w ów pamiętny wieczór wiosenny...

— Cóż to jest?—powtarza, nie mogąc wyjść ze zdumienia. — Zkąd się tu wziął portret Lili między rupieciami, na strychu, zakurzony?.. Macieju, mój Macieju, chodź no tu do mnie, byle prędko — woła na starego, grzebiącego się jeszcze w torbach myśliwskich...—Prędzej!...

— Już idę, jaśnie panie! Dobrałem się nareszcie do torby... akurat, jakem chciał, takąm znalazł... Możemy jechać!

Stanął przy Stanisławie i naraz torba wypadła mu z ręki.

— Aaa!... — mówi, otwierając usta szeroko. — A to co?

Stanisław schwycił go za ramię. — Zkąd ten portret znalazł się tutaj?—pyta. — Mów stary, bo umieram z ciekawości.

Maciej stoi zafrasowany.

— Łatwo to powiedzieć „mów,“ ale co on ma mówić?..

Stanisław się niecierpliwi. — Mój kochany, nie trzymaj mię w niepewności—woła żywo. Wszak to portret p. Rumszańskiej, prawda?

— Nie, jaśnie panie—rzekł, dławiąc się, Maciej. To, to jest portret nieboszczki p. Stefanowej...

— Więc matki p. Lili? — pyta Stanisław natarczywie. — Czy tak?

— Niby to tak —odpowiada stary wciąż zafrasowany.— Pójdźmy już, bo nie wiele upolujemy; południe blizko...

Stanisław ani się ruszył.—Powiedz mi najpierw, kochanku, dlaczego ten portret znajduje się tutaj, zamiast w portretowej sali? Dlaczego nikt o jego istnieniu nie mówił, kiedym tylokrotnie pytał? Co to znaczy?

Maciej się kręcił, wzrok wbił w ziemię i milczał.

Stanisław patrzył nań z coraz większem zdumieniem.

— Doprawdy, Macieju, zaczynacie mię irrytować... Czy doczekam się nareszcie odpowiedzi?

Stary poskrobał się w głowę.

— Jaśnie panie — zaczął — mnie tam nic do tego. Nie rad jestem rozgadywać co się w domu działo; bo i po co? Portret tu leży: niech sobie leży; myślałem, że go już, kurz i myszy zjadły...

Zaczął mu się przyglądać ciekawie.

— Aha! — mruknął — stary dywanik na niego zarzucili, to się i utrzymał... Nie uważałem i pewnikiem zmiotłem go, przechodząc, na ziemię.

Ale co on tu robi? Kto go tu przyniósł? — wołał Stanisław, coraz bardziej zniecierpliwiony. — Niech-że się dowiem nareszcie!

— Już niech jaśnie pan daruje, ale nic powiedzieć nie mogę... Zkąd się wziął, to się wziął, i widać, że tu potrzebny, skoro go tu wrzucili. Pójdźmy, jaśnie panie, bo nam cyranki uciekną...

Stanisław nie mógł oczów od portretu oderwać.—Jakże podobna—szeptał—jak podobna!— Zwrócił się do Macieja. — Mój stary, mój kochany, nie męcz mię dłużej. Muszę wiedzieć..

— Ale odemnie nic się jaśnie pan nie dowie, bo sam nic nie wiem,—mruknął stary z niechęcią. — Pani starsza nie bardzo lubiła nieboszczkę, o coś się tam pogniewały, i portret poszedł na górę. Więcej nic nie wiem.

Stanisław spojrzał na niego z osłupieniem.

— Banialuki opowiadasz stary—rzekł.—Tylko coś ważnego mogłoby skłonić matkę do usunięcia portretu synowej z miejsca, na którem znajdować się powinien. Mów stary otwarcie: wybiegi na nic się nie zdadzą.

— Jaśnie panie,—prosi gorąco Maciej, pochylając mu się do nóg—już niech jaśnie pan daruje staremu i nie ciągnie go za język. To takie stare dzieje; po co przypominać? Umarli nie wstaną, najlepsza rzecz popiołów ich nie poruszać. Co było, to było, a że źle było, to i prawda; ale Bóg już tem wszystkiem rozrządził. Jaśnie panu byłoby markotno, i mnie gorycz dławi, gdy sobie przypomnę... Po co to?

Stanisław objął szyję starego.

— Mój Macieju, bądźcież rozsądni! Ja-bym nie wytrzymał, dopókibym się prawdy nie dowiedział. Wszak to, co Rumszańskich dotyczy, musi być dla mnie ważne i ciekawe. Zaniepokoiłeś mię więcej pewno, aniżeli warto. Mów, cóż tedy?

Maciej widzi z rozpaczą, że się nie wykręci. Jak mu tu powiedzieć? Kara Boska na niego, nic więcej.

— Jaśnie panie,—rzekł wreszcie zdeterminowany—skoro mam mówić koniecznie, niech i tak będzie. Starsza pani Rumszańska kazała portret wyrzucić na strych po owym pojedynku, z którego p. Stefan powrócił nieżywy. Nie dziwota! Jego już tylko miała jednego... Zamilkł wzruszony.

W umyśle Stanisława budzić się zaczęły jakieś niejasne wspomnienia. Słyszał on już coś o tem, że Rumszański zginął w pojedynku, ale z kim, co i jak? Nie wiedział.

— Mów dalej, stary, i mów szczerze—rzekł.

Z kim i o co się pojedynkował?

— A no, juści nie o co innego, ino o młodą panią—wykrztusił Maciej. —Niech już jaśnie pan mi daruje, bo dalibóg, nie powiem nic więcej.

Machnął ręką i zabierał się do wyjścia.

— Co nam tam do umarłych — szeptał podrażniony.—Po co to wywlekać.

Stanisław zastąpił mu drogę. Był bardzo blady i wzburzony.

— I co więcej?—Pyta drżącym głosem.—Mów, co więcej!

— Co!—żachnął się stary!—co ma być jeszcze? Nie było u niej statku nijakiego, byle oczami ciskać, byle się chichotać z każdym, ot i tyle! Pan coś podpatrzył, ludzie gadać zaczęli, zrobiła się awantura.

— Co tam pleciesz, stary! — zawołał Stanisław ze złością.—Jestem pewny, że nieboszczka wcale winną nie była. Ale ten nikczemnik, uwodziciel, zdrajca, ten zawinił i powiedz mi, powiedz natychmiast, kto on jest, jak się nazywa, czy żyje jeszcze?

Wyrzucał z zaciśniętych warg słowa, dusząc się prawie z wściekłości.

Stary Maciej runął jak długi na podłogę i objął jego nogi, szlochając głośno:

— Nie mów, nie mów tak, jaśnie panie, — mówił łkając. — Nie złorzecz, ani przeklinaj!.. O Matko Najświętsza! za coś też tę karę na mnie zesłała?!

Stanisław pochylił się nad nim.

— Nie dziwacz, stary,—rzekł. — Niema nazwy na tego nikczemnika, i skoro tylko ożenię się z p. Lilą, zemsta moja go nie minie. Powiedz mi jego nazwisko, prędzej!..

Stary uszy zatkał i szlochał jak dziecko.

— Nie powiem — wyjąkał. — Niech mówi kto chce... O mój Jezu, mój Jezu! jeszcze mi i tego trzeba było!..

Podniósł się z ziemi i, nie patrząc na Stanisława, wyszedł.

Stanisław wzruszył ramionami.

Zdziwaczał stary — rzekł do siebie.—Muszę zapytać matki. Teraz już rozumiem jej niechęć ku Lili i - nie dziwię się! Ten,—zacisnął pięść z wściekłością, — ten nędznik odpowie mi za wszystko, jeśli tylko żyje...

Spojrzał na portret Rumszańskiej raz jeszcze.

— Czyżby te słodkie oczy mogły udawać, ten uroczy uśmiech—kłamać i zdradzać.... Nie! ona nie może być winną!...

Wypadł szybko przed pałac i poleciał wprost do stajni.

— Zakładać konie — krzyknął i w kilkanaście minut potem pędził do domu, nie pożegnawszy się nawet z Maciejem.

W sypialni p. Kamienieckiej palił się ogień na kominku. Wysoka komnata, położona na północ, w największe upały chłodną była. P. Kamieniecka w dnie chłodniejsze kazała palić na kominku nawet podczas lata.

Stanisław późno powrócił do domu. Złamało mu się koło u powozu, musiał do miasteczka dojeżdżać i czekać aż naprawią. Zaraz po przybyciu do domu pobiegł do pokoju matki. Sie działa właśnie samotna przy kominku, zapatrzona w ogień, bardzo smutna i przygnębiona.

Stanisław stanął przed nią.

— Już teraz wiem, matko, dlaczego lękasz się o moję przyszłość—rzekł bez ogródki, wiem dlaczego nie lubisz Lili... Ale cóż ona winna, biedaczka moja!.. Zresztą, przekonany jestem, że i Stefanowa Rumszańska niewiele tu zawiniła. Młoda, niedoświadczona, w gruncie rzeczy szlachetna pewno kobieta nie obliczyła następstw takiej salonowej zabawki, a ten niegodziwiec z tego skorzystał...

P. Kamienicka, słuchająca dotąd syna ze zdumieniem, przy ostatnich jego słowach zerwała się z fotelu. Zbladła okropnie. Stanisław, zatopiony w myślach, nie zauważył tego.

— Droga matko—rzekł,—pamiętasz chyba całą tę historyą. Muszę wiedzieć wszystko i gdy zostanę mężem Lili, będę już miał prawo szukać zuchwalca i ukarać go. Powiedz mi, matko, jego nazwisko. Czy żyje jeszcze? Czy będę tak szczęśliwym, że zdołam nauczyć go, jak się szanuje spokój cudzego domowego ogniska? Rozkoszna to będzie chwila, gdy mu kulę pistoletu w sam środek czaszki wsadzę. Będzie mniej jednym łotrem na świecie!

Ciężka jak ołów ręka spadła na usta wzburzonego młodzieńca. Jak posąg boleści stała przed nim matka z oczami obłąkanemi, ze słowami drżącemi na ustach. Ogień na kominku jaśniejszym wybuchnął płomieniem; twarz jej, oświecona teraz w pełni, wydobyła okrzyk zgrozy z piersi Stanisława. Przypominała raczej trupa, niż żyjącą istotę. Wskazujący palec prawej ręki wyciągnęła w stronę portretu i trzymała go nieruchomie, wpijając oczy w twarz męża, po której ślizgały się płomienie kominkowego ognia, krwawy odblask na nią rzucając. O! groza tego widoku chyba nigdy z pamięci Stanisława nie zniknie. Otworzyły się wreszcie zamknięte dotąd usta matki.

— Nie wolno ci przeklinać...—szeptała, dusząc się, bo tchu jej brakło. - nie wolno złorzeczyć!... Śmierć zmazała winę! Módl się i szanuj pamięć... twego... twego ojca

Stało się! Padły nareszcie słowa odkrywające przeszłość, którą chciała na zawsze przed synem pogrzebać. I w sercu nieszczęśliwej kobiety coś się złamało, skruszyło. Jęknęła głęboko i zachwiała się; palec, zawsze sztywny, wskazywał na portret, jakgdyby groził synowi i w pamięci jego chwilę tę chciał utrwalić nazawsze

Stanisław skamieniał. Wrażenie było tak silne, że nawet bólu nie czuł. Patrzył na matkę, na portret... Upadek czegoś ciężkiego na podłogę zbudził go; oprzytomniał: matka leżała na ziemi bez zmysłów. Rzucił się ku niej. — Matko, matko—wołał,—nieszczęśliwa, biedna moja matko! Otwórz oczy, spojrzyj na mnie... Przysięgam, że wyrzeknę się dla ciebie wszystkiego, zaprę się swojej miłości, samego siebie... O, męczennico, któraś tyle przeżyć potrafiła!..

Płakał jak dziecko. Wązka struga krwi płynęła z czoła leżącej. Upadając, uderzyła się p. Kamieniecka o wystający gzems kominka; syn patrzył teraz na tę krew matczyną — patrzył oczami, w których naraz łzy zastygły.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Co słychać w „Rodzinie Połanieckich.“

Utarł się ostatniemi czasy na całym świecie prawie—zwyczaj pewien. Oto mianowicie, względem dzieł rozgłośnej sławy autorów wywalczono sobie przywilej podglądania im pod pióro jeszcze w trakcie pisania danego autora, zaglądania następnie w „dalsze ciągi“ drukującego się dzieła, dzielenia się wreszcie wrażeniami swojemi publicznie,—tak zupełnie, jak w towarzyskiej rozmowie czynią to stali czytelnicy gazety, która drukuje utwór powszechne budzący zajęcie.

Takimi wybrańcami niedyskrecyi dziennikarskiej są Zola i Ibsen, Tołstoj i Daudet, Spielhagen i Bourget i kilku innych jeszcze. U nas losy ich dzieli — Sienkiewicz. To trudno: komu przypadły w udziale najjaśniejsze strony literackiego zawodu, ten i od przyćmionych nieco jego stron uchylić się nie może; pismo zaś, co z chwalebną i korzystną zapobiegliwością zdobyło sobie „najświeższy“ utwór takiej miary pisarza, dziwić się nie powinno, że nietylko *profanum vulgus* z biesiady takiej korzysta, ale, że takim „wypadkiem dnia“ na literackiej niwie zaprzątają się i ci, co już choćby z rzetelnego obowiązku, wszelkie wogóle wypadki dnia w wielkiej historyi chwili bieżącej, dziennikarstwem zwanej, zapisują.

Niedawno temu prassa nasza kommentowała w różny sposób wyjątki z czwartego tomu drukującej się w *Kuryerze Codziennym* „Emancypantki“ B. Prusa, z całą słusznością zaprzątając się niepowszednią tą powieścią. W dziennikach francuskich czytaliśmy przedrukowywane ustępy całe z „Docteur Pascal“ Zoli oraz domysły: w jaki sposób cykl swój powieściowy zamknąć zamierza autor „Rougon-Macquartów“... Przykładów nie braknie, prejudykatów wyliczyć-by można niemało. To też sądzimy, za złe nam nie weźmie Sienkiewicz, jeżeli zajrzymy oto do felietonów *Gazety Polskiej* i do zeszytów *Biblioteki Warszawskiej*, drukujących jednocześnie najnowszą jego powieść obszernych rozmiarów, zatytułowaną „Rodzina Połanieckich“.

Nowa, duża powieść Sienkiewicza! Gdzie i kiedy rozgrywa się akcya: jakie postacie wyprowadza na scenę, jakiemi drogami wiedzie czytelnika, jakie roztacza obrazy? Nie byłby Sienkiewicz autorem „Ogniem i mieczem“, „Bez Dogmatu“ i „Bartka“, nie byłby najpoczytniejszym dziś naszym autorem, gdyby podobnych zapytań nie wywoływała sama zapowiedź pojawienia się nowego jego dzieła. Już dziś wiemy przecie, również dzięki uprzywilejowanej dziennikarskiej niedyskrecyi, że po „Rodzinie Połanieckich“ rozpocznie Sienkiewicz w tejże *Gazecie Polskiej* druk innej powieści, że tytuł jej brzmi *Quo vadis?*, że osnutą ona będzie na tle czasów Chrystusowych, że akcya rozgrywać się ma w Rzymie Cezarów i t. p. A nie mielibyśmy wiedzieć—co słychać w „Rodzinie Połanieckich“?

Nie sekret to żaden. W tej chwili właśnie rozwija się naprzód wciąż i naprzód tom powieści drugi. Mamy już tedy pełny rzut oka na tom pierwszy i, szkicując oto treść jego, nie naruszym chyba zagonów krytycznej oceny, nie postawim żadnego horoskopu ani „dalszemu ciągowi“ ani „zakończeniu“. Przedewszystkiem tedy, w pierwszym tomie „Rodziny Połanieckich“ niema jeszcze żadnej—rodziny Połanieckich. Jest tylko sam p. Stanisław Połaniecki — kawaler trzydziestoparoletni.

Pochodzi Połaniecki z dawnej dobrej szlacheckiej rodziny, na zagonie osiadłej; ojciec jego miał pszennej kawał ziemi w lubelskiem; stracił wiejską fortunę; syn, p. Stanisław, wyszedłszy z technologicznych szkół zagranicznych, musiał „dla chleba“ jąć się zawodu; wybrał farbiarstwo; potem, ile że i handlowe studya obcemi mu niebyły, wszedł w spółkę z niejakim p. Biegelem i dom komissowo-handlowy w Warszawie otworzył.

Połaniecki—to zdrowy sangwinik, czynny, energiczny, prędki, trochę szorstki, ale z doskonałem sercem, trzeźwo i praktycznie na świat i życie patrzący.

— „Ja nie analizuję życia—powiada raz sobie—bo nie mam na to czasu. Gdy mi jest dobrze, to czuję, że dobrze, gdy źle, to źle—ot i wszystko. Ale przed pięciu lub sześciu laty było inaczej. Była nas cała paczka ludzi, którzy się schodzili na rozprawy o znaczeniu życia. Było kilku uczonych i jeden literat, dziś dość znany w Belgii. Zadawaliśmy sobie pytania: dokąd idziemy, jaki wszystko ma sens, jaką wartość i jaki koniec? Czytywaliśmy pessymistów i gubiliśmy się w rozmaitych pytaniach bez dna, tak jak mój jeden znajomy, assystent przy katedrze astronomii, który, jak zaczął się gubić w przestrzeniach międzyplanetarnych, tak zgubił w nich mózg... i potem mu się zdawało, że jego głowa krąży po paraboli w nieskończoność. Później wyzdrowiał i został księdzem. My również nie mogliśmy do niczego dojść, na niczem odpocząć... zupełnie jak to ptactwo, które leci przez morza i nie ma na czem usiąść. Ale ja wreszcie spostrzegłem dwie rzeczy: oto naprzód, że moi Belgowie biorą to wszystko mniej do serca, niż ja... my jesteśmy naiwniejsi... powtóre, że mi się ochota do roboty psuje i że robię się niedołęgą. Wówczas wziąłem się za uszy i zacząłem na umor farbować perkaliki. Potem też powiedziałem sobie tak: życie jest w prawach natury—czy mądrych czy głupich mniejsza z tem—ale jest. Żyć trzeba, więc trzeba z życia wydobyć co się da. I chcę coś wydobyć. Waskowski powiada wprawdzie, że my, Słowianie, nie potrafimy na tem poprzestać, ale to się tak gada. Że na samych pieniądzach nie potrafimy, na to od biedy zgoda. Ale ja sobie powiedziałem, że prócz pieniędzy są jeszcze dwie rzeczy: spokój i — kobieta. Bo trzeba, żeby człowiek miał się z kimś wszystkiem podzielić. Potem musi być śmierć — dobrze! ale gdzie się zaczyna śmierć, tam się ludzka głowa kończy: „*That's not my business!*—jak powiada Anglik. Tymczasem trzeba mieć komu to oddać, co człowiek ma i zdobywa — czy to pieniądze, czy zasługę, czy sławę...

„Jeżeli są dyamenty na księżycu, to wszystko jedno, bo niema nikogo, ktoby uznał, że one coś warte. Tak i człowiek musi mieć kogoś, ktoby go uznawał. A ja sobie myślę: kto mnie uzna, jeśli nie kobieta — byle była ogromnie dobra, ogromnie pewna i bardzo moja i bardzo kochana. To wszystko czego można chcieć, bo z tego idzie spokój — i to jest jedyna rzecz, która ma sens. Ja to mówię nie jak poeta, ale jak człowiek pozytywny i kupiec. Mieć przy sobie drogą głowę—to jest i cel. A potem niech będzie co chce. Oto moja filozofia“.

Na innem zaś miejscu sam autor dorzuca jeszcze parę rysów do tej charakterystyki.

„Połaniecki był pod pewnym względem dzieckiem wieku, — od współczesnych „dekadentów“ jednak różnił się tem, że się nie rozlubował w sobie, w swoich nerwach, w swoich zwątpieniach, w swoim duchowym dramacie, i że nie dał sobie dyspensy na niedołęztwo i próżniactwo Miał owszem mniejwięcej uświadomione poczucie.

że życie jakie ono jest, tajemnicze czy nie tajemnicze, musi być wypełnione szeregiem prac i czynów. Sądził, że jeśli jest niepodobieństwem odpowiedzieć sobie na rozmaite: „dlaczego?“ — to jednak możemy coś robić, sam czyn bowiem może być do pewnego stopnia odpowiedzią—może być wprawdzie niedorzeczną, ale przynajmniej człowiek, który tak odpowiada, zrzuca z siebie odpowiedzialność. Więc cóż zostaje? założenie rodziny i praca społeczna. Jedno i drugie musi być jednak do pewnego stopnia prawem natury ludzkiej i jej przeznaczeniem, gdyż inaczej ludzie nie żeniliby się, ani wiązali w społeczeństwa. Tego rodzaju filozofia, popierająca rozumnie męzkie instynkta Połanieckiego, wskazywała mu małżeństwo jako jeden z głównych celów życia“.

A że ów kontrastowy odpowiednik do Płoszowskiego z „Bez dogmatu“ stoi w przełomowym życia okresie, kiedy to—według zdania samego Sienkiewicza — pociąg do założenia „rodzinnego gniazda“ objawia się niemal w każdym bez wyjątku mężczyźnie, tedy nie dziw, że tuż zaraz na wstępie powieści spotyka Połaniecki na drodze swojej kobietę, w której ideał żony dla siebie upatruje.

Spotkanie zaś to z następującego wypływa zbiegu okoliczności.

Kiedyś, przed laty ś. p. matka Połanieckiego pożyczyła była dwanaście tysięcy rubli dalekiemu swemu krewnemu, p. Pławickiemu, właścicielowi, już podówczas dobrze obdłużonej posiadłości ziemskiej. P. Pławicki, słabo bardzo administrujący fortuną swoją, procentów nie płacił, o zwróceniu kapitału nie myślał: myślał tylko o tem, jakby wszelkiemi lawirowaniami, zwlekaniami, prawnemi wybiegami utrzymać się przy swoim Krzemieniu, zaszarganym hypotecznie co się zowie. Biegły lata — dług ś. p. pani Połanieckiej podwoił się.

Razu pewnego p. Stanisław Połaniecki potrzebował gotówki dla — rozszerzenia „interesu“ prowadzonego na współkę z Biegielem. Stanęły mu na myśli te 24,000 rubli ulokowane u Pławickiego a w spadku po matce wzięte. Matka turbować o nie nie chciała wierzyciela, może kierując się jakiemś tam względem na pokrewieństwo dalekie. Skrupułów tych nie czuł p. Stanisław a lekce sobie ważyć same pieniądze—nie przywykł. Nie namyślając się długo, siada i jedzie do Krzemienia uzyskiwać stanowczo i bezwzględnie dług od Pławickiego. Krzemień ów znał, bo dzieckiem bywał tam z matką; przed laty Pławickiego nazywał nawet kiedyś *pro forma* wujaszkiem.

(Dokończenie nastąpi).

List z Rzymu

Przypływ fal ludzkich jeszcze tu nie ustaje; pielgrzymki przybywają za pielgrzymkami i podobnego widoku nigdzie już chyba oglądać nie można. Urządzono też specyalne pociągi dla tych tłumów pobożnych, i ktokolwiek znajduje się tu obecnie, czuć musi, że Rzym to coś więcej jeszcze, niżeli stolica Włoch, a ostatni dzień Maja nieprędko wyjdzie mi z pamięci. Trzy tysiące ludzi, dążących tu z różnych stron świata, zgromadziło się w Watykanie, zapełniając szczelnie salę górną nad krużgankiem Ś-go Piotra, a msza cicha, odprawiona przez Ojca Świętego, wywierała przez to właśnie wrażenie potężne, iż cichą była. Nic tu nie usiłowało przemawiać do dusz ludzkich, prócz uczucia, które im pierś podnosiło, a cały ten wielki tłum kobiet, mężczyzn, puścił się zaraz, wychodząc ze świątyni, w drogę do średniowiecznego miasta nad Adryatykiem: Singaglii gdzie urodził się mąż świątobliwy, którego pamięć nabożeństwem uczcić chciano, Pius IX. Ojciec Święty przemawiał po odprawieniu mszy do zgromadzonych poważnie i spokojnie, jak zwykle, budząc wspomnienie osobistego stosunku do poprzednika swego na stolicy apostolskiej. Nazajutrz, d. 1-go Czerwca, w kościele Ś-go Wawrzyńca, pięknej, wspaniałej świątyni, gdzie spoczywają zwłoki Piusa IX-go, odbyło się uroczyste nabożeństwo żałobne, które odprawił patryarcha konstantynopolski, a zarazem vice-regens Rzymu, ks. Luti, wobec grona kardynałów, biskupów i nieprzeliczonego tłumu pielgrzymów, stowarzyszeń pobożnych.

Po południu ustawiono w innej, wspaniale obszernej świątyni: w kościele Ś-go Ignacego, wielki posąg Piusa, dłuta rzeźbiarza Matteniego i obyczajem rzymskim odprawiono nabożeństwo wielce wspaniałe, które odprawił patryarcha konstantynopolski a zarazem vice-regens Rzymu, ks. Luti, w obec grona kardynałów, biskupów i pielgrzymów, stowarzyszeń pobożnych, a następnie odbyła się na cześć zmarłego *academia di prosa e musica*, to jest koncert wokalny i instrumentalny, oraz deklamacya poezyi, poświęconej uczczeniu pamięci nieboszczyka.

Poprzednio już karawana podróżnych Anglików w liczbie 500, przybyła ze względu na te uroczystości do Wiecznego Miasta i zwiedza też wszystkie jego wielkie pamiątki pod przewodnictwem uczonego archeologa Spandoni, na którego rzymskie stowarzyszenie strzeżenia starożytnych skarbów Rzymu włożyło obowiązek oprowadzenia podróżnych wszędzie, gdzie przeszłość przemawia jeszcze wielkiemi pamiątkami swemi. Spandoni, chcąc rzucić tu większy promień światła, urządził poprzednio odczyt, objaśniający historyczne ich znaczenie. Pielgrzymka hiszpańska posiadała przecież szczególny przywilej zwrócenia na siebie uwagi wybitnie charakterystycznemi cechami swemi, i gdy orszak ten ciągnął przez ulice rzymskie do Watykanu, tłumy zbiegały się, aby patrzeć na oryginalne to w swoim rodzaju widowisko. Ubiory i charakterystyczne rysy twarzy zaciekawiały, bo byli tu i pielgrzymi z Kuby, z wysp Filipińskich, przeważnie ze sfer ludowych, ubrani czarno, z czarnemi biretami na głowie, owiązanej czarną również chustą. Katalończycy, w malowniczych, oryginalnych kostyumach, szczególniej pociągali wzrok ku sobie, a trzeba dodać, że wpośród wotów, dla których chciano błogosławieństwa papiezkiego, wśród darów, które niesiono, a które przedstawiały jakoby daninę składaną Kościołowi, znajdowała się biała koza z wyzłoconemi rogami, strojna w kwiaty i wstążki. Jeden z kapłanów przewodniczących pielgrzymce, biskup toledański, objaśnił Leona XIII, że lud ten pobożny pragnie dla kozy owej krzyżyka papiezkiego, by mlekiem jej i mlekiem jej progenitury karmić dzieci słabowite dla przywrócenia im przez łaskę bożą sił czerstwego zdrowia. Ojciec Święty, wzruszony tą silną wiarą prostaczków, pogłaskał i przeżegnał kozę, mówiąc potem biskupowi, iż taka to wiara „góry przenosi“.

Hiszpania otrzymała w tym czasie dwóch świętych patronów; jednym z nich stał się Jan z Avilo, spowiednik Ś tej Teresy, zmarły w 1569 r., drugi błogosławiony Diego z Kadyxu, urodzony 1743 r., zmarły w 1881, obaj słynący w ojczyźnie swojej z wielkiej uczoności. Akt beatyfikacyi odbył się bardzo wspaniale; bazylika watykańska płonęła światłem odbijającem się w festonach purpurowych i złotogłowych draperyi, Leon XIII wniesiony tu na tronie swym przenośnym, „Sedia gestatoria,“ błogosławił wiernych, przyczem zauważono, jak wiek odcisnął już na nim piętno swoje, bo prawica błogosławieństwo to niosąca, była niezmiernie chuda i niemal przezroczysta, co sprawiało na zgromadzonych wrażenie, jakgdyby jakiejś ręki, wyciągającej się z poza ziemskiego świata.

Ponieważ Ojciec Święty nie posiada języka hiszpańskiego, przemawiał w jego imieniu młody kapłan hiszpański, streszczając to, co Leon XIII w encyklice swojej: „Novarum rerum“ wyraził o kwestyi pracy i kwestyi socyalizmu, nazywając ułożenie się tej rzeczy zgodnie z nauką Chrystusową „La salvacion de la sociedad,“ to jest zbawieniem społeczeństwa ludzkiego. Wspaniały widok przedstawiał się oczom Rzymian, gdy po skończeniu uroczystości o godzinie jedenastej ogromny plac Ś-go Piotra zaroił cię tłumem przybyszów, których narodowe stroje czarne i rysy cudzoziemskie odbijały się charakterystycznie w gorącem oświetleniu południowego słońca na tle starożytnych gmachów, jakich nie posiada żadna inna stolica Europy. Zaznaczyło się to i w teatrach, w pracowniach artystów, bo gmina miejska usiłowała uwydatnić wszystkie piękności Wiecznego Miasta, jego starych pomników nieznanych nawet tym, którzy lat temu kilka zwiedzali Rzym, bo wiele skarbów przeszłości wydostano z pod gruzów w ziemię zapadłych i pyłem wieków przysypanych. Iluminacya, jaśniejąca wieczorem pierwszego dnia kongresu syndyków, czyli burmistrzów miast włoskich, graniczyła niemal ze sztuką: *Stella d'Italia*, to jest gwiazda Włoch, płonąca na szczycie tryumfalnego łuku Tytusa barwami Włoch: czerwoną, zieloną i białą, blaskiem swym ściągała do siebie tłumy liczne, zwłaszcza cudzoziemców, przywabionych, nie samą grą światła, ale widokiem, jaki przedstawiały odbijające się w niem przedmioty. Odkopane Forum występowało czarodziejsko w tem świetle różnobarwnem i zdawać-by się mogło widzowi, że znajduje się w jakiemś zaklętem mieście, nad którem panuje wróżka Urgela.

W ogrodach watykańskich wykończają pośpiesznie pawilon, w którym Ojciec Święty pragnie używać wśród lata ciszy i tych darów natury, między któremi spokój niezamącony hałaśliwym ruchem miast przeludniowych jest może rzeczą najcenniejszą. W Watykanie odbyło się przecież bardzo niedawno liczne zebranie, zwane we Włoszech akademia, czyli koncert urządzony na cześć Palestriny we wspaniałej sali Klementyńskiej, której akustyka podnosi wielce effekt rozpływających się wśród niej tonów. W głębi wzniesiono dla Papieża tron, a dalej ustawiono krzesła dla zaproszonych, to jest dla arystokracyi rzymskiej i prałatów różnych, oraz znakomitości ze świata tonów. Znajdował się między niemi maëstro wysoko ceniony w muzykalnym świecie, kompozytor Ruy Blasa, a choć to jest były nauczyciel królowej Małgorzaty, nie pominięto go, bo Ojciec Święty wysoko ceni wszelki talent wyższy i nazywa go skrzydłami, które unoszą człowieka w krainę ideału.

Obecnie ściąga liczne tłumy ludzi, można powiedzieć z Włoch całych, wystawa obrazów tak w orginałach jak w kopiach i rycinach znakomitych malarzy z piętnastego wieku. Pierwsze miejsce trzyma tu Antonio Allegri, znany w sztuce pod nazwą Correggio, oraz jego naśladowcy: Mazzolo, Anselmi, Rondini. Jest to zarazem wystawa dzieł, w których traktowano sztukę owczesną i dokumentów dotyczących tej szkoły; fresk, wykonany przez Correggia w 1518 r., w klasztorze benedyktynek w Parmie dla Joanny z Placencyi, zyskał mu od razu sławę pierwszorzędnego mistrza; ale arcydzieło to, przedstawiające Dyanę z półksiężycem nad czołem, stojącą na wozie greckim, ciągnionym przez sarny w otoczeniu kupidynów, gracyi, satyrów—zaginęło dla sztuki w wirze wypadków. Przecież kolosalna jego praca: freski zdobiące sklepienie katedry, fresk w Syxtynie, są znakomitej piękności, wprawdzie brakuje im charakteru sztuki chrześcijańskiej, lecz biorąc rzecz bezwzględnie są to piękności nie dające się opisać, a mitologiczne jego obrazy pełne ponętnego wdzięku i poezyi wprawdzie zmysłowej, lecz poezyi zawsze, wywierają na widza wrażenie graniczące z zachwytem.

Budzi go w innej dziedzinie sztuki rodaczka nasza, Mira Hellerówna. Przybyła ona w tych dniach do Medyolanu, wezwana przez impresaryów opery włoskiej w Ameryce, którzy zaangażowali też obydwóch Reszków, uwożąc ich tam również. Hellerówna posiada głos niepospolity, silny, o skali rozległej a zarazem pełen słodyczy i wyrazu. Przybywszy do Medyolanu dała koncert w jednym z miejscowych teatrów i zdobyła sobie odrazu wszystkich melomanów, uznających w niej talent wyższy, a kompozytor, Giacomo Puccini, piszący właśnie nową operę „La Lupa,“ partyą prymadonny przystosował do skali i właściwości jej głosu. Muzyka jest i będzie zawsze dla Włochów sztuką najwyżej wśród ogółu cenioną i artystyczna płodność w tym kierunku rozwija się też coraz więcej, wraz z rozwojem nowego życia

społeczeństwa. Oprócz utworów młodych mistrzów: Leoncavalla i wymienionego powyżej Pucciniego, wysokie miejsce między kompozytorami zajął Samary, którego pierwsza opera „Flora Mirabilis,“ już go postawiło w rzędzie wyżej cenionych, twórczych talentów muzycznych.

Uzasadniła to kompozycya jego druga z rzędu, grana w pierwszych dniach bieżącego miesiąca w teatrze San Carlo: „La Martire“ (Męczennica) a trzeba znać Włochy aby zrozumieć jak opera, teatr w ogóle znaczy dla nich wiele. Wspomniany wyżej librecista, Verga, wyrachował jakim tu jest stosunek opery, teatru w ogóle, do społeczeństwa. Kiedy w Londynie jeden teatr przypada na 145.000 mieszkańców, w Wiedniu na 138.000, w Hamburgu na 115.000, w Berlinie na 81.000, w Rzymie jest jeden na 31.000 osób, w Medyolanie i Turynie jeden na 30.000 osób, w Wenecyi na 28.000, w Bolonii na 20.000, w Katanii na 9.800. Według stosunku, jaki istnieje w Katanii Berlin musiałby posiadać z jakie dwieście teatrów, to jest dziesięć razy tyle, ile ich ma obecnie. Teatra włoskie są przecież obsługiwane przeważnie przez trupy wędrowne i kapłani sztuki, służbie jej poświęceni, nieraz o chłodzie, jeżeli nie o głodzie, spać się kładą.

Tchnie tu w ogóle duch właściwy sobie i mimo nowożytnej cywilizacyi, która siłą pary roznosi pojęcia, poglądy człowieka na życie utrzymują się, i nigdy nie nikną wśród narodów różnice kierunków twórczych, natchnień z głębi ducha powstających. W literaturze włoskiej zaznacza się obecnie zwrot jakoby do epoki Renesansu i jeden ze znakomitszych pisarzy tutejszych, Michał Anunzio, napisał i wydał w tym czasie powieść, z zapożyczonym od Petrarki tytułem, „Tryumf śmierci.“ Styl, koloryt obrazów, świetność malowidła pociągają za sobą czytelnika i każą mu przypomnieć sobie czasy Odrodzenia; nie jest to przecież książka, która-by była posiłkiem dobrym dla ducha, bo rozmarza i rozsmuca. Śmierć tryumfuje nad życiem, gdyż ona dopiero daje spokój cichy, daje odpoczynek po walkach, trudach ciężkich. Autor opatrzył książkę przestrogą, mieszcząc na wstępie zdanie Nitsche'go, żą są pewne dzieła dobre i zdrowe dla dusz szlachetnych, a zgubne dla poziomych, przez co chciał wyrazić, że książka jego nie zepsuje tych, którzy pracują, walczą dla idei, dla uszlachetnienia ludzkości przez nabytki dobra i cnoty górnej, nie pragnąc za to egoistycznie zapłaty szczęścia. Wśród rozmaitych recenzyi książki, wśród kommentarzy nad nią, wyszła niewielka, bezimienna broszura, odpowiadająca autorowi, iż się myli, bo szczęście zawiera się już w samem spełnieniu dobra — że czują tak wszyscy ludzie szlachetni, i nieszczęście przystępuje głównie do człowieka przez odtrącenie tego dobra, będącego naturalnym instynktem ludzkości, jak dowodzą tego wyrzuty sumienia, których brak jest rzadkim fenomenem nawet u najniżej upadłych.

Obecny układ życia, ujmujący człowieka w kadry form przyjętego obyczaju, nie przypada do natur wszystkich, bo po wiek wieków będą znajdowały się dusze silniej niepodległe, z wyobraźnią gorętszą, którym potrzeba szlaków nieubitych, przetworów szerszych, gdzieby odetchnęły piersią całą. Książe Eugieniusz Ruspoli, syn rodu bardzo starożytnego i szanowanego za zasługi czynów, spełnionych w czasie odbudowania Włoch, uczuł potrzebę życia poza ubitemi jego szlakami—życia na własny rachunek pracy wśród wrażeń i wzruszeń nowych, puścił się też do Afryki w towarzystwie kilku młodych, jak on, ludzi, gdzie polowanie na dzikiego zwierza, na słonie, stało się rozrywką jego najmilszą. Uzbrojony w strzelbę dwururną polował raz na wybrzeżu rzeki Sagan i strzelił do wielkiego słonia, lecz ten raniony tylko rzucił się nań i choć książe dał strzał drugi, słoń uchwycił go w łapy swe potężne, wyrzucił następnie w górę i stratował nogami. Strzelcy, towarzyszący księciu w liczbie jedenastu, nie podążyli z ratunkiem, skrępowani przez trwogę i patrzyli na okrutną walkę człowieka ze zwierzem, dawszy tylko sygnał trwogi, wzywający pomocy z obozu, która gdy nadbiegła, książe już był konającym. Towarzysze podróży pragnęli zabrać zwłoki do ojczyzny, ale przedstawiało to wielkie trudności i złożono je w grobie, wykutym w skale, wraz z opisem wypadku, skreślonym na pargaminie i umieszczonym we flaszy.

Jeden z towarzyszy nieboszczyka, przesyłając opis tragedyi do rzymskiego dziennika *Riforma*, zakończył go zdaniem, że lepiej może umierać młodo w starciu jakiemś tragicznem, niż konać powoli z niemocy pod ciężarem lat. Odpisało na to jakieś pióro kobiece, że zdanie to fałszywem jest i egoistycznem, bo każdy człowiek ma jakiś cel w życiu, który gdy spełnionym zostaje, przynosi ogółowi cóś z owoców dobra społecznego.

August.

KOBIETY - POETKI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

(Odczyty wygłoszone w Sali Ratuszowej w d. 9-ym, 11-ym, 12-ym i 13-ym Marca, na rzecz Osad Rolnych).

(Dalszy ciąg).

Przedewszystkiem mała uwaga. Trudno osądzić obecnie: czy ta niezmierna wyrazistość i podniosłość typów duchowych, w jakich ukazują się nam postaci, otaczające ogień kominkowy, jest w pewnej części płodem bujnej wyobraźni poetki, czy też zupełnie wiernem odbiciem rzeczywistości? Zeznania świadków ówczesnej chwili, tych nawet, którzy stale przy ogniu kominkowym zasiadali, nie może nam tu wystarczyć, choćby dla tego, że pisząc swe notatki już po wyjściu „Poganki,“ i to w bardzo odległej epoce, na promienne chwile młodości swej patrzyli niezawodnie okiem poetki. Odczytując ich sprawozdania, widzimy, że to i owo uzupełnili lub objaśnili, ale główne rysy kreślą nawet wprost słowem Gabryeli. A wiemy dobrze, w jak czyste złota przemienić może prostą nawet glinę życia ziemskiego wielkie serce i szczytne natchnienie poety! Jeżeli jednak można przypuścić, że wyobraźnia entuzyastki powiększyła nieco zarysy duchowe ukochanych osób, wątpić, jak sądzę, nie należy, iż zasadnicze pierwiastki psychiczne duch śpiewaczki naszej, obdarzony niezwykłą mocą jasnowidzenia, odczuł i odtworzył wiernie, tylko gdzieniegdzie siłą swego dłuta rysy wydoskonalił, wygładził, uszlachetnił. Nie ukochałoby tej drużyny bratniej szlachetne serce poetki, gdyby nie była tego warta. Była to niezawodnie najlepsza cząstka duchowa ówczesnej społeczności naszej.

W późniejszej porze życia, w „Słowie przedwstępnem do dzieł dydaktycznych pani Hofmanowej,“ zimniej i krytyczniej już spogląda Gabryela na to serdeczne, ukochane gronko. Najwierniejszym cześć oddaje, choć już nie w tak artystycznem przedstawia ich oświetleniu. Oto ich charakterystyka: „Chciwa nauki, pracowita, a co więcej, umiejąca skutecznie pracować Kazimiera Ziemięcka; gorącej wiary i gorącego serca Wincenta Zabłocka; surowa dla siebie, uczynna, choć nie pobłażliwa dla drugich, praktyczna, choć wysoko ukształcona, Emilia Gosselin; aż do śmierci wierna sługa cierpień, niedostatku i smutku bliźnich, prawdziwa bez habitu siostra miłosierdzia Walerya Lewicka; zdrowej rady i pomocnej ręki Kryspina Stelmowska; niedawno zgasła sród nas Anna Skimborowiczowa, o której rzec-by można słowami Pisma: „Balsam wylany—imię twoje,“ tak każdy przy niej czuł się pewnym, spokojnym, tak ukochanym w jej sercu za poczciwe chęci swoje, tak przebaczonym za grzechy, tak pojętym w najwznioślejszych pragnieniach i najpoziomszych trudnościach swej ziemskiej wędrówki“.

Dążenia i wizerunek duchowy entuzyastek, którą to nazwę sama im Gabryela nadała, określa poetka dosadnie w następującej charakterystyce: „Młode ich serca tak się oburzały wszystkiem, co, niestety, już zwyczajnem się stało, że koniecznie zapotrzebowały myślą, słowem i uczynkiem z tą powszedniością się rozgraniczyć...“ A dalej powiada: „Same wszechświatowe zajmowały je kwestye, same szerokie poglądy, same niebotyczne szczytności: doskonałość, postęp, wiedza, szczęście, ludzkość, zbawienie, Bóg! Z najciaśniejszego kącika, od najdrobniejszej plewki, wzlatywały na te obszary i przenosiły w nie wszystkie swe kosztowności, o których to powiedziano: „gdzie skarb twój, tam i serce twoje“. Rzeczywiście, tam był ich skarb i tam było ich serce, a z pełności serca mówiły usta, co je nieraz w towarzystwie na śmieszność, lub przed sądem roztropności na ostrą przyganę wystawiało.“

Powszedniość życia rzeczywistego, która tak długo rzucała szare mroki na umysł kobiety, która żywsze uderzenia jej serca krępowała, obudziła do siebie w duszach entuzyastek wstręt nieprzezwyciężony. Wstręt ten, stanowiący wybitną cechę ruchu romantycznego we Francyi, objawił się i u nas i doprowadzał niekiedy nawet do wybryków excentrycznych.

Zrywające się do lotu samoistnego dusze entuzyastek naszych zapragnęły równouprawnienia z mężczyzną tylko w sferze pracy umysłowej, a także potrosze w sferze swobody towarzysko-życiowej. I wywalczyły w pewnej dozie to równouprawnienie i tę swobodę: „Że możecie,“—powiada Gabryela do kobiet późniejszych — same po ulicach chodzić, koleją jeździć; o czem chcecie, o rozumnych książkach, czy nierozumnych plotkach, w towarzystwie rozmawiać: wszystko to winyście pierwszym przodownicom, co wam śród szyderstw i wydziwiań drogę utorowały“—a słusznie ze swej strony dodaje Chmielowski, że „entuzyastkom zawdzięczają dzisiejsze kobiety uznanie potrzeby gruntownej dla nich nauki.“ Rzeczywiście, zawdzięczają im tę zasadę pedagogiczną, że nietylko dla umilenia życia mężczyźnie, ale i na *człowieka*, narówni z płcią męzką, wychowywać je należy.

Pod wpływem zimniejszej rozwagi entuzyastka—Gabryela w późniejszym już wieku przychodzi do przekonania, że siostry jej duchowe zadaleko zaszły w szafowaniu wielkich słów i wielkich idei, i oto jak myśl tę wyraża: „Są święte słowa, z któremi nie można bezkarnie co chwila na targ wyjeżdżać, póki się treścią życia, uczynków i cywilizacyi nie wypełnią.“ Pogląd ten, niezupełnie słuszny, a wyrażający niewiarę w potęgę słowa, wypłynął zapewne z bólów i rozczarowań, przez jakie przeszło serce poetki.

Nic dziwnego, że świat, nad którym duch mężczyzny górował, świat, który widział w kobiecie albo anioła ogniska rodzinnego, albo szatana upadku, który na autorstwo kobiet spoglądał zaledwie okiem łagodnej tolerancyi, jako na zabawkę bezczynnego życia,—powitał entuzyastki niechęcią i szyderstwem. Było to jeszcze naturalniejszem z tego względu, że niektóre drobne ich wybryki za oznaki śmiesznej donkiszoteryi, lub nawet czegoś gorszego uważał; że często raziła go przesada entuzyazmu, że wreszcie mieszał „salonowe lwice“ i „emancypantki“ ze szczeremi entuzyastkami, że widział przed sobą rozpasanie obyczajów w życiu wielu emancypantek we Francyi i obawiał się, aby dążenie do samoistności nie zaraziło tąsamą niezdrową atmosferą naszej inteligencyi niewieściej. Obawy te jednak były płonne. Atmosfera ta pozostała czystą i zdrową. Trafiały się smutne fakta upadku moralnego, ale chyba nawet rzadziej, niż w sferach, które daleko od wyżyn duchowych przebywały.

W gronie entuzyastek były różne poglądy na życie, czasem sprzeczne, różne charaktery i temperamenty; ale ponad wszystkiem górowało jedno wielkie ukochanie ideałów udoskonalenia natury ludzkiej, ideałów prawdy i piękna. Prócz Gabryeli śród tych kobiet nie było wielkich zdolności twórczych, któreby ognisko ducha społecznego rozgrzały; niektóre z nich bardzo tylko skromne datki do skarbonki literackiej dorzuciły; jedna zaledwie Zofia Węgierska większym talentem pisarskim zabłysła. Duch, który to szlachetne kółko ożywiał, głównie przez potęgę twórczej duszy Gabryeli wpływ na życie wywarł. Ale były też w tem gronie poetki bez słowa, poetki w duchu i w czynie. Oddziaływanie ich na najbliższe otoczenie było tem poruszeniem wód,

które coraz szersze kręgi zakreśla, coraz dalej idzie.—I poszły po nich śród ludzi duchowe ich córy, a słowa ich i czyny, jak ewangelię, poniosły. A nadto pokazały one światu, że kobieta, gdy ukocha wiedzę, prawdę i piękno, wytrwać mocą ducha przy tem ukochaniu potrafi, mimo szyderstw, zaczepek, oskarżeń, a nawet potwarzy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Atlanta, czyli przygody młodego chłopca na wyspie tajemniczej, przez *Z. Urbanowską.*

Książki dla młodego wieku popularyzujące wiedzę przyrodniczą, mają tę wielką zasługę, że obok wiadomości które przynoszą rozbudzają ciekawość młodego umysłu na to, co nas otacza, uczą więc myśleć, zastanawiać się, nie pozwalają zatem na apatyczne leniwe wegetowanie, w którem pogrążony człowiek zadawalnia tylko materyalne swoje potrzeby, nie żądając nad to nic więcej. Ze wszystkich władz umysłu wyobraźnia najpierw się w nas rozwija, dlatego też pierwsze działanie na umysł dziecka za jej pośrednictwem dokonywać się musi i wskutek tego piszą dorośli dla dzieci bajki, powiastki interesujące tem silniej, im więcej mieści się w nich fantazyi. Umysł młody, niezdolny jeszcze do zajęcia się wiedzą pozytywną, nauką dla nauki, potrzebuje aby wiadomości o życiu i świecie były mu podawane w ten sposób, i jak pojęcia moralne najłatwiej przenikają do przekonania dziecka w obrazkach, odtwarzających pewne realne położenia życia, tak samo dzieje się i z nauką.

Trzeba zdobyć tu najpierw uwagę przez wzruszenie, zainteresowanie wyobraźni, i p. Zofia Urbanowska jęła się tego środka, chcąc wprowadzić w umysły młodziuchne coś wiedzy pozytywnej z zakresu nauk przyrodniczych, szczególniej z botaniki. Łączy autorka prawdę naukową z obrazkami fantazyi; wiadomości, jakie podaje z odnośnych działów umiejętności, wciela w bajkę, i wiedza, jaką przynosi, urozmaicona w ten sposób dostaje się do umysłów młodych czytelników jakoby przypadkowo, mimochodem. Przychodzi czas kiedy kształcenie umysłu przez naukę występować powinno jako potrzeba wielkiego znaczenia, którą dziecku zrozumieć należy, i trzeba mu też wykazać wtedy, że światło to jest, bez którego człowiek idzie przez życie jakoby omackiem i nigdy dostać się nie zdoła do jego wyżyn wznioślejszych; ale zrozumieć to może tylko dziecko starsze, któremu ujawniają się już stosunki życia i podział pracy, normujący się na różnicach wiedzy posiadanej. Zbyt wcześnie to czynić jest to pracować bezowocnie: trzeba przecież budzić już w umyśle młodziuchnym ciekawość tu potrzebną, i książka p. Urbanowskiej z takim też celem jest właśnie napisaną.

Jest to ściśle i systematycznie wyłożony kurs praktyczny botaniki, mineralogii i zologii w fantazyjnem oświetleniu bajki. Tajemnicza, jakoby nie odkryta jeszcze przez geografów, wyspa Atlanta, ma trzech władców, synów króla Bożydara, dzielących między sobą władzę nad trzema państwami. Królestwem minerałów rządzi Kryształek, Zielonko to władca świata roślin, Pióropuszek ma poddane sobie twory żywe: zwierzęta, ptaki, wszystko, co się rusza samodzielnie. Między potomkami Bożydara przebywa Janek Sierota, korrespondent „Wieczorów rodzinnych“ i w listach, które pisze do tego tygodnika, mieszczą się obrazy trzech cudownych królestw, to jest światów zoologii, botaniki i mineralogii, a dodać trzeba, że pod względem naukowym jest to bardzo dobrze zestawiony wykład popularny tych nauk.

Zamek królewicza Zielonki to przeogromna cieplarnia, podzielona na apartamenta, które tworzą oddziały botaniczne według najnowszej w nauce klasyfikacyi. Janek, zwiedzając je, zapoznaje się z całem państwem Flory, a następnie w podróżach po wyspie ogląda cuda natury nietylko z tego zakresu. Królestwo kopalne otwiera przed nim bogactwo skarbów swoich, a świat żywych istot, które zaludniają pola, lasy i wody, przedstawia mu się obok tego i zgrupowane razem występuje mu przed oczy wszystko to, co jako dar boży zostało danem człowiekowi w nieprzejrzanych bogactwach natury, w pięknościach jej i użytkach, jakie człowiek czerpie z jej skarbnicy.

Rzecz zakończa się uroczystym pochodem, przez który wszyscy trzej królewicze pragną złożyć hołd miłości ojcu swemu — uczcić Bożydara, który w hojnie rozdanych bogactwach zapewnił synom swoim szczęśliwe, w dostatki mogące opływać, życie na ziemi. Świat minerałów, zwierząt, roślin, przesuwa się przed wyobraźnią młodych czytelników w grupach na podstawie nauki zestawionych, a piosenka, do której dodane są nuty, odzywa się do młodego, w ruch życia mającego wstąpić czytelnika, temi słowy:

Witaj, witaj w tej krainie
Gdzie szczęśliwy mieszka lud,
Gdzie od wieków z cnót swych słynie
Bożydarów wielki ród...

Tak!.. ziemia, ojczyzna człowieka, jest piękną, ubogaconą we wszystko, co może dać mu dobrobyt i szczęście: trzeba tylko, aby człowiek umiał odszukać i zgromadzić sobie skarby, rozrzucone wśród państwa przyrody, a jeżeli obok tego będzie czuł w piersi takie bicie serca, które każe mu podnosić wzrok ku górze—jeżeli tęsknota do niewidzialnych światów nie da mu przyrość kamieniem do ziemi, szlachetne instynkta jego ludzkiej istoty staną mu do pomocy w ciężkich chwilach tych prób, które łamią słabych, lecz hartują silnych. Przecież wychowanie musi tu dać podstawę—wychowanie, które urabia moralną istotę człowieka, zwraca myśli jego i pragnienia w stronę pewnych ideałów, i jest to jakoby uprawa roli, zasiew ziarna w grunt piersi ludzkiej rzucony; lecz jeżeli przykłady otaczające dzieciństwo i wiek młodociany stanowią tu tak wiele, wielkim też jest wpływ tego, co młodość za pośrednictwem czytania do umysłu i serca bierze, czem rozognia wyobraźnią, za wzór piękna moralnego to przyjmując.

Książka p. Zofii Urbanowskiej należy do najlepszych oryginalnych dzieł z tego zakresu; język jej, prosty a szlachetny, umie dobrze oddać to, co wyrazić pragnie — umie wcielić w obrazy natury piękno wdzięczne, dać wyrazowi uczuć siłę, która niewątpliwie musi oddziaływać na młodych czytelników, a do rzeczy bardzo wdzięcznych, za serce chwytających, należą wiersze, waryanty pieśni znanych wszystkim; więc dziecko łatwiej je sobie przyswaja jako coś, co mu obcem nie jest. Można też twierdzić niemylnie, że przyniesie mu to korzyść, gdy nauczy się tych wierszy na pamięć. Wierszyk krótszy, w trzech przemianach powtórzony, jest jakoby lekcyą nauki poglądowej, ukazującej mu to w otoczeniu jego, co, poczucie piękna natury wzbudzając, serce szlachetnie wzrusza. Obok talentu pisarskiego czuć się tu daje tendencya ta szlachetna, która oddziaływać musi dobroczynnie na umysły, na serce młode, i ze względów pedagogicznych życzyć nam sobie należy, aby pióro autorki obdarzało literaturę naszę dla młodego wieku szlachetnemi utworami swemi, bo brakuje nam bardzo dobrych książek z tego właśnie zakresu, oryginalnie pisanych, i żywimy się tu głównie przekładami.

Ale obok tego pragnęlibyśmy może silniej jeszcze dostawać od autorki książki, kreślone na tle powszedniego życia rodzin z celem moralnie edukacyjnym, bo niewątpliwie byłyby to rzeczy dobre, rozumne, ukazujące cel życia szlachetny i drogi, jakiemi do niego dążyć trzeba. Młodość pierwsza a nawet wiek dziecinny już potrzebuje, aby ideał istnienia podniosły stał się drogowskazem dla pierwszych życia kierunków. Ludzie, którym za młodu serce w piersi nie uderzy siłą uczuć wznioślejszych, którzy nie podniosą się nad egoizm, ściągający przeważnie do siebie wszystkie myśli i człowieczych usiłowania—ludzie tacy nigdy prawdziwie szlachetnymi nie będą, nie podniosą się do takiej miłości bliźniego, do takiej idei życia, któraby im nakazywała kochać i pracować ofiarniczo dla dobra ludzkości.

M. Ilnicka.

Kronika działalności kobiecej.

— Donoszą z Petersburga, iż do pewnych wydziałów ministeryum rolnictwa dopuszczone będą kobiety, przecież bez prawa do emerytury.

— Na pierwszem posiedzeniu petersburskiej kommissyi w sprawie zbytu produktów gospodarstwa kobiecego obradowano nad warunkami wywozu przedmiotów, należących do gospodarstwa kobiecego. Wielka ilość jaj i przetworów nabiałowych wywożona jest z Rossyi, zwłaszcza południowej, do Turcyi, Danii, Anglii.

— Warszawska rada miejska dobroczynności publicznej rozda w bieżącym roku 480 rs. na wsparcie ubogich wdów i sierot po zegarmistrzach z zapisu ś. p. Tekli Świergowskiej, także niegdyś wdowy po zegarmistrzu.

— Ś. p. Wilhelmina Anger zapisała 2.000 rs. na kościół ewangelicko-augsburski w Warszawie.

— Komitet pań w Towarzystwie opieki nad zwierzętami zamierza urządzić znów w jesieni szereg odczytów, w których wezmą udział p. p. D-r Bujwid Oton, Flam Maxymilian, Gawalewicz Maryan, Jankowski Leopold, Kramsztyk Stanisław, Marburg Adam, Palmirski Aleksander, Rzeczniowski Leon, Siwiński Edward, Umiński Władysław, Weydel Emil.

— Dobry uczynek spełnionym będzie przez grono pań Warszawę zamieszkujących, wskutek założenia szkoły kucharek, gdzieby dziewczęta sposobiące się do tej gałęzi pracy, mogły się uzdolnić w niej należycie. Nauka przez praktykę w służbach nabywana, jest niełatwą; dziewczyna zwłaszcza mniej pojętna, przejść musi wiele przykrości zanim po latach kilku dojdzie do celu, a jeżeli nie umie być cierpliwą, zniechęca się do swego zawodu, psuje moralnie. Towarzystwo Dobroczynności przyjęło też projekt urządzenia szkoły, przedstawiony do rozpatrzenia i decyzyi ogólnego zebrania Towarzystwa.

— Maryanna Maciosówna ze Staszewa spełniła czyn heroiczny miłości bliźniego. Statek parowy, nazwy „Sandomierz“, wiozący znaczną liczbę osób, przeważnie robotników z okolic Zawichosta, Zaklikowa, Modliborzyc, wpadł dopływając do wsi Mniszewo na kamienie mielizny i przedziurawił się tak, że woda zaczęła dostawać się szybko do wnętrza: do kajuty klassy drugiej, mieszczącej się pod pokładem. Poczęto też uciekać ztamtąd i w popłochu zapomnianem zostało dziecko, chłopczyk pięcioletni, śpiący spokojnie, co gdy przypomniała sobie Maciosówna, wskoczyła w wodę, sięgająca jej po szyję i wyniosła dziecko na pokład. Przód statku zaczął się przecież zanurzać, po wielkich wysiłkach załoga zdołała przybliżyć go ku brzegowi, spuszczono łódkę ratunkową, w której dopłynęło do brzegu kilka osób i zaczęto ciągnąć ku sobie statek za pomocą lin, rzuconych sobie z pokładu. Przyciągnięto go do lądu o tyle, że ludzie mogli się wydostać na brzeg; wiele osób poniosło straty w pakunkach, ale dziecko zostało uratowane przez mężną i szlachetną dziewczynę, która wyniosła je ze statku na rękach.

— Księżna Marcellina z Radziwiłłów Czartoryska, zmarła niedawno w Krakowie, przedstawiała w najszlachetniejszem znaczeniu typ dostojnej pani, umiejącej cenić wszystko, co jest szacunku godnem, a działalność jej jako protektorki sztuk, oraz osoby dobroczynnej, zostanie długo w pamięci ludzkiej. Przez lat kilkanaście zamieszkując Paryż umiała i tam zjednywać sobie wyższe uznanie i szacunek ludzki, a przyjaciółka i uczen-

nica Szopena pielęgnowała go w ostatniej chorobie, jak siostra brata, i na jej rękach oddał Bogu ducha, nie czując się samotnym. W 1867 roku zamieszkała w Krakowie i od tej chwili oddała się całkowicie uczynkom dobroczynnym i sztuce, a wielbicielka Szopena usiłowała utrzymać w wykonywaniu jego kompozycyi bezpośrednio od mistrza przyjętą tradycyą, i wszyscy, którzy pisali o Szopenie, zwracali się do niej po szczegóły rysów charakteru jego i kierunków artystycznego natchnienia. Dobroczynna przytem założyła w Krakowie do Towarzystwa opieki nad choremi dziećmi i była do śmierci jego protektorką, oraz przewodniczącą, równie jak i w miłosiernem Stowarzyszeniu pań Ś-go Wincentego à Paulo, i za jej to staraniem, za jej pomocą pieniężną wzniesiony został szpitalik dla dzieci pod wezwaniem Ś-go Ludwika. Do zasług jej społecznych zaliczyć trzeba gościnność, przez którą dom jej otwartym był dla każdego, kto miał za sobą zasługę, czy wiedzę, lub talent wyższy; urodzona w 1817 roku, przeżyła 77 lat dostojnie wiedzionego życia.

— D-r Laskowski ogłosił w *Revue Scientifique*, iż w uniwersytecie genewskim było w przeciągu lat siedemnastu zapisanych na fakultecie medycznym 175 kobiet, a między niemi rodaczek naszych 50. Zpośród tych tylko cztery doprowadziły studya do końca; z pozostałych 125 otrzymało doktorat 10, lecz z tych dwie porzuciło medycynę i wyszły za mąż, jedna zmarła, cztery walczą z ciężkiemi warunkami zdobycia sobie środków do życia i trzy tylko cieszą się praktyką dosyć dobrą. Co się stało z resztą? D-r Laskowski nie wie, a Karol Vogt pisze, że przyczyną małego powodzenia kobiet lekarek jest brak dostatecznego przygotowania do studyów, gdyż pod względem pilności, pracowitości i zapału, studentki przewyższają większą część studentów i zazwyczaj uczą się lepiej niż oni, a przynajmniej nie gorzej, ale brak podstaw czyni wiedzę ich nie dość gruntowną.

— Do uniwersyteckiej kliniki kobiecej w Monachium przyjętą została D-r Zofia Nordhoff. Urodzona w Bielefeld udała się do Ameryki na studya medyczne, które odbyła w Waszyngtonie i zdała egzamin ze stopniem najwyższym *maxima cum laude*. W roku zeszłym wróciła do Europy, aby kształcić się jeszcze na uniwersytecie wiedeńskim, obecnie przebywa w Monachium gdzie otrzymała w klinice dla kobiet miejsce naczelnego lekarza.

— W Turynie obchodzono niedawno stuletni jubileusz fortepianistki, wdowy po vice-hrabi Alisio, która towarzyszyła mężowi we wszystkich wyprawach wojennych w okresie czasów napoleońskich i była przy jego boku podczas kampanii 1812 r. Sędziwa pani grywa jeszcze codziennie po kilka godzin.

— Mrs Karzyna Field z Waszyngtonu wniosła podanie do wydziału wychowania Stanów Zjednoczonych, aby we wszystkich średnich i wyższych szkołach dziewcząt wykładaną była estetyka, dla wykształcenia smaku kobiet. Potrzebuje tego kobieta w rodzinie, aby dom jej był miłym mężowi, aby poczucie piękna rozbudzało się w dziecku, co oddziaływa i na moralną stronę człowieka, budząc wstręt do materyalnego tylko używania, do tego co jest nizkiem i lichem. Piękno wszelkie opiera się przeważnie na harmonii, daje więc poczucie ładu, zgody i kobieta, która tego nie posiada nie może wywiązać się nigdy dobrze z zadań przeznaczenia swego. Grubijaństwo wszelkiego rodzaju—to brak poczucia piękna, form życia szlachetnych. W odpowiedzi na podanie minister zaprosił Mrs Field na konferencyą, która dałaby pole do omówienia podniesionej kwestyi.

— Pomnik wzniesiony w Ameryce, w Wirginii, Maryi Waszyngton, małżonce nieśmiertelnie czczonego bohatera, został odkrytym w d. 10 Maja z wielką uroczystością i przy ogromnem zgromadzeniu osób, zwłaszcza kobiet, których tysiące przybywało tu ze wszystkich Stanów Północnych. Przemawiało kolejno sześć kobiet; jedna z pomiędzy mówczyń, miss Gracya Winstorn z Ohio, wygłosiła rzecz bardzo piękną i wzniosłą co do współudziału kobiety żony w czynach męża. „Obcowanie ciągłe z osobą nizkich pojęć o życiu więc i nizkich pragnień, tak z konieczności poniża, jak z konieczności kobieta szlachetnego ducha, uszlachetniając wszystko w otoczeniu swojem, oddziaływa i na uczucia, pojęcia męża. Kochana nawet, bywa mało cenioną, jeżeli nie umie wznieść się po nad poziom materyalnego tylko używania, materyalnych na życie poglądów, i miłość, jaka jej się dostaje, jest też miłością nizkiego gatunku. Aby serce uderzyło uczuciem wznioślejszem, trzeba o struny szlachetnych uczuć serca potrącić, bo inaczej cóż nastąpi, gdy wiek zważywszy kwiat powabów piękności, ogołoci kobietę z tej siły oddziaływania na towarzysza jej życia? Marya Waszyngton była kochaną, wielbioną bez zmiany — była drogą bohaterowi czczonemu przez miliony, bo wśród wielkich zadań jego życia nigdy nie stanęła mu przeszkodą w dążeniu do celów wzniosłych, a zawsze pomocą, aby obowiązek został spełniony, zadanie dokonanem".

Z bieżącej chwili.

— Na wystawie hygienicznej w Petersburgu przyznano wystawcom wielkich medali złotych 64, małych 48, srebrnych wielkich 79, srebrnych małych 81, bronzowych 38, listów pochwalnych 188, dyplomów 32. Wystawców było przeszło 1.000, okazów wystawiono 50.000.

— W Petersburgu rozpoczęły się już tak zwane białe noce. Słońce wschodzi tam o godzinie w pół do drugiej po północy, zachodzi o w pół do dziesiątej wieczorem. Blaski słoneczne jeszcze nie zdążą zagasnąć na zachodzie, gdy wschód już rumieni jutrzenka.

— W kościele archikatedralnym Ś-go Jana rozpoczęła się restauracya całego prezbiteryum i wielkiego ołtarza, który już jest rozebrany i ustawiono rusztowanie dla rozpoczęcia robót od łuków sklepienia. Po obu stronach prezbiteryum mieszczą się stalle dla duchowieństwa, zbudowane w 1665 r. Robota ta jest gdańska; nad stallami mieszczą się chóry na grubych krokszynach modrzewiowych. Opatrując zali krokszyny te nie ulegają próchnieniu, oderwano podłogę i dostrzeżono, iż drewniana stalla zakrywa cenne pomniki z XV-go i XVI-go wieku, są to zapewne starożytne zabytki, o których wspomina Adam Jarzemski w opisie Warszawy z 1643 r. Nie można było zbadać odrazu jaka ilość pomników mieści się ukryta baryerami obu stal. Jeden z pomników okolony jest ramą z marmuru kararyjskiego, rzeźbioną artystycznie w deseń koronkowy.

— Na budowę kościoła parafialnego w Markach pod Warszawą, właściciele miejscowej fabryki, pp. Possett i Bright złożyli 20.000 rs.

— Fabryka koronek wielkich rozmiarów wzniesiona będzie wkrótce za rogatkami jerozolimskiemi. Zakładają ją belgijczycy, tworzący współkę i możemy dodać: chwała Bogu! bo fabryka ta nietylko da zarobek znacznej liczbie kobiet, ale zatamuje sprowadzanie koronek z zagranicy, więc ubytek naszego grosza. Dlaczego przecież wznoszą ją cudzoziemcy, do kieszeni których będzie szedł zysk główny? Interesami współki zarządza inżynier Babiac.

— Wystawa lwowska została uroczyście otwarta; rozmieszczona na obszarze 50 hektarów przedstawia widok orginalny, łączy bowiem różne style architektoniczne z etnograficznemi właściwościami kraju. Budynkiem głównym jest pałac przemysłu, obejmujący 6.000 metrów kwadratowych obszaru. Projekt planu podał inżynier Skowron, wykonało go trzech budowniczych: Gryglewski, Krykiewicz i Miller. Gmach to olbrzymi, pomieścił przemysł ceramiczny, metalowy, wyroby złote, bronzowe, stolarstwo artystyczne, majoliki, fajanse, produkta chemiczne i mineralne, kamieniarstwo, wyroby alabastrowe i marmurowe, zegarmistrzowstwo, galwanoplastykę, instrumenta muzyczne, historyą muzyki i tam dalej. Pałac sztuki, mieszczący się naprzeciwko, jest bardzo piękny, zbudowany w stylu późnego renesansu. Dalej halla rolnictwa i pawilon architektów, który ma kształt świątyni, uważanym jest słusznie za najpiękniejszy budynek wystawy. Dalej wznosi się pawilon przemysłu a mieszczą się tu wyroby szkoły garncarstwa w Kołomyi, snycerstwo w Zakopanem, tkactwo w Krasnie, koronkarstwo w Muszynie, w Zakopanem i mnóstwo rzeczy cennych. Zaraz obok wznoszą się pawilony pojedyńcze: miasta Lwowa, wydziału krajowego, robót kobiecych, ministeryum rolnictwa, produkcyi solnej, prasy, towarzystw zarobkowych, a na około tego wszystkiego pawilony prywatne, księcia Albrechta, księcia Lubomirskiego, hrabiów Romana i Andrzeja Potockich, księcia Sanguszki. Niezmiernie wdzięczny i zajmujący jest widok siedmiu wiernie przedstawionych w stylu rodzimym chat włościańskich z typowem ich wnętrzem, oraz dwór wiejski, w którym mieści się wystawa etnograficzna. Piękną jest halla muzyki, w której odbywają się koncerta a wspaniały wodotrysk różnokolorowy grą blasków swoich przyciąga ku siebie oczy. Pierwszego dnia zwiedziło ją 700 osób.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz" w kwartale przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu" dołącza się **Zuch dziewczyna**, przez autorkę powieści „Lady Verner," przekład z angielskiego, T. II., ark. 3 i 4.

TREŚĆ: Nad Stawem, przez A. Lange. Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg).—Co słychać w „Rodzinie Połanieckich."—List z Rzymu, przez Augusta.—Kobiety-poetki, przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg). — Przegląd piśmienniczy, przez M. Ilnicką.—**Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: Arkusz 3 i 4 T. II, **Zuch dziewczyna**, przez autorkę powieści Lady Verner, przekład z angielskiego.—Przegląd mód.—35 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 8 Іюня 1894 г.